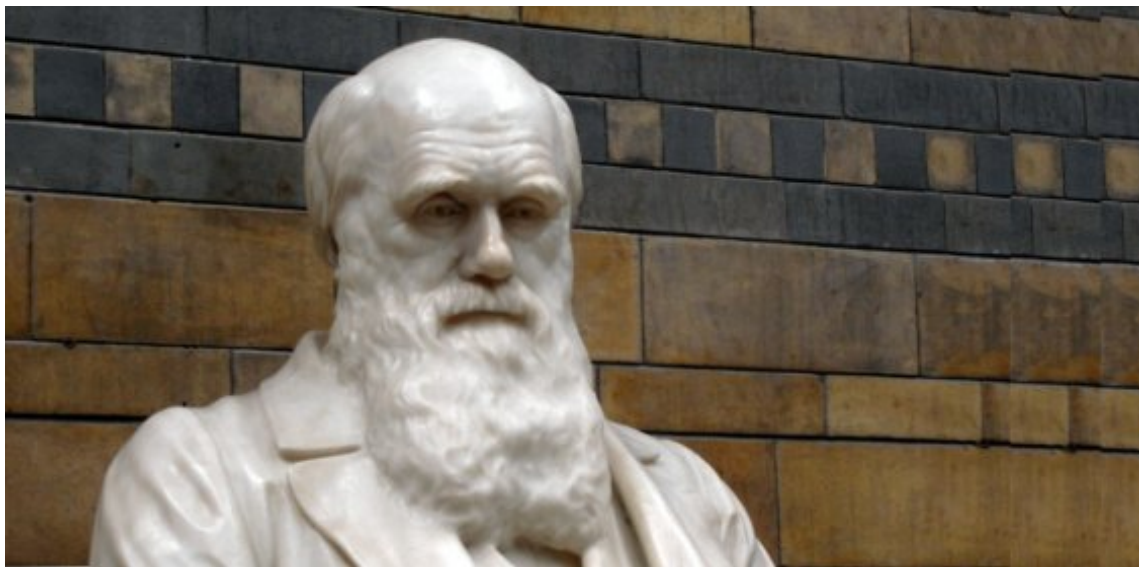


Hanna Pasierska: Proteuszowa zmienność ewolucji

Nawet uczeni, zawodowo zajmujący się zdyscyplinowanym wnioskowaniem, okazują się często bezbronni wobec błędów w myśleniu. Trudno więc dziwić się zwykłym śmiertelnikom, podążającym ich tropem i przyjmującym na wiarę ich tezy



Utrzymane w optymistycznym tonie obietnice przyśpieszenia ewolucji człowieka, ewentualnie nieco mniej różowe prognozy rozszczepienia gatunku ludzkiego na tych uprzywilejowanych, zmodyfikowanych genetycznie i naszpikowanych elektroniką, oraz przegraną biedotę w

wersji sauté cieszą się niesłabnącą popularnością. Można wręcz zauważyć, że ostatnio, w wersji transhumanistycznej, rozpleniły się szczególnie bujnie - pisze Hanna Pasierska dla Teologii Politycznej

„Okolo roku 1900 eksplozywny rozwój genetyki nieomal dobił teorię Darwina, znajdującą się już od dawna na bocznym torze rozwoju nauki. Paradoksem jest, że wtedy właśnie usunięta została najpoważniejsza i fatalna (choć długo ignorowana) ułomność koncepcji Darwina, na którą zwrócił już uwagę w 1867 roku inżynier H.C. Fleeming Jenkin (1833-1885), mianowicie jej niezdolność do wskazania źródła dziedziczonej zmienności i mechanizmu jej przekazywania” – pisze Jerzy Dzik w bardzo ciekawym artykule prezentującą polski wkład w historię relacji między ewolucją a paleobiologią.

Odkrycie mechanizmu dziedziczenia miało jednak daleko idące konsekwencje. To za jego sprawą zmodyfikowana myśl Darwina – znana pod nazwą neodarwinizmu – do dziś kojarzona jest z głównie badaniami genetycznymi. Do tego stopnia, że podejmowane w ostatnim czasie próby uzupełnienia jej o nowo odkryte, niegenetyczne sposoby przekazywania cech z pokolenia na pokolenie budzą energiczny sprzeciw sporej części środowiska badaczy.

Tak czy siak teoria ewolucji stanowi niepodważalny punkt odniesienia dla nauk przyrodniczych, nawet jeśli spotyka się (jak to teoria naukowa) z krytyką – np. nie cichną wątpliwości co do mechanizmu powstawania wyższych taksonów, czyli makroewolucji. Trzeba jednak przyznać uczciwie, że nikt jak dotąd nie zdołał zaproponować dla niej przekonującej alternatywy.

Od swego powstania „teoria powstawania gatunków drogą doboru naturalnego” prowadzi jednak także drugie życie, stanowiąc inspirację dla nauk społecznych, wizji futurologów – oraz dodatkowo jako przedmiot wiary profanów. Skąd ta popularność?

Zapewne stąd, że obok naukowego niesie potężny ładunek mitologiczny. Zachowując pozory racjonalizmu i materializmu, próbuje odpowiedzieć na pytania metafizyczne, o początek i koniec: skąd się wzięło to, co istnieje; jak powstał człowiek; co kryje przyszłość. Dodatkowo, na co zwraca uwagę m.in. cytowany już Dzik, ma charakter historyczny, a zatem odnosi się do konkretnej przeszłości, której ślady możemy odkryć. Nie rozgrywa się w sferze abstraktów, lecz namacalnych, realnych zdarzeń.

Ten „metafizyczny bonus” jest niezwykle kuszący dla bardzo szerokiego grona. Nie tylko dla społecznych reformatorów, szukających uzasadnienia dla swoich wizji, czy dla maluczkich potrzebujących argumentu pozwalającego ukazać w szlachetnym świetle odrzucenie religii, ale przede wszystkim dla samych naukowców-ewolucjonistów: niełatwo zachować skromność, gdy nieoczekiwanie dostrzega się nad własną głową aureolę demiurga.

Pierwszą ofiarą takich zapędów pada jednak naukowość. Jak złośliwie zwraca uwagę Mary Midgley w książce „Evolution as a religion”, na której argumentach w znacznej mierze oparty został niniejszy tekst, „(...) wielu dzisiejszych naukowców raczej nie ma praktyki w myśleniu ogólnym, przez co są nieco naiwni i bezbronni wobec przesądów strojących się w szaty nauki” (str. 27). Równie często oznacza to, że

sami przyczyniają się do szerzenia podobnych przesądów, gdy próbują się wypowiadać w kwestiach spoza zakresu swoich kompetencji. To wyjaśnia zalew paranaukowych opowieści o tworzeniu nowego człowieka, demaskatorskich dzieł redukujących etykę do garści egoistycznych popędów, wreszcie nihilistycznych wizji wrogiego, zimnego świata.

Ruchome schody postępu

Utrzymane w optymistycznym tonie obietnice przyśpieszenia ewolucji człowieka, ewentualnie nieco mniej różowe prognozy rozszczepienia gatunku ludzkiego na tych uprzywilejowanych, zmodyfikowanych genetycznie i naszpikowanych elektroniką, oraz przegraną biedotę w wersji sauté cieszą się niesłabnącą popularnością. Można wręcz zauważyć, że ostatnio, w wersji transhumanistycznej, rozpleniły się szczególnie bujnie.

U ich korzeni leży przekonanie, że zmiany zachodzące podczas ewolucji mają kierunkowy i co więcej, jednoznacznie pozytywny charakter. Kłopot w tym, że jest ono bezpodstawne. Ideę ewolucji jako nieuniknionego postępu, procesu konsekwentnych zmian na lepsze postulował Jean-Baptiste Lamarck (jego teoria w programie biologii przez lata przedstawiana była jako „głupia siostra” darwinizmu). Darwin odnosił się do niej mocno sceptycznie: jego model przypomina nie tyle drzewo o mierzącym w niebo pniu i cienkich bocznych gałęziach, ile rosochaty krzew o wielu równoległych pędach. Wiele planów budowy i wiele rozmaitych cech ma w nim porównywalną wagę; brak wyróżnionego kierunku czy tendencji. Co więcej, presja

selekcyjna zmienia się losowo wraz z losowymi zmianami środowiska, dlatego w ogóle trudno mówić o stałych tendencjach: w każdej chwili dana cecha może przestać się rozwijać albo ulec „regresowi”.

Co do projektowania przyszłych ludzi, to w żaden sposób nie można określić, jakie cechy będą w przyszłości faworyzowane przez (nieprzewidywalny przecież) dobór, nie mówiąc o stronie genetycznej podobnego rodzaju ambicji. Większość cech kodowana jest wielogenowo, i odwrotnie – większość genów decyduje o kilku cechach równocześnie. Jak w tym gąszczu przeprowadzić swój zamiar i osiągnąć cel, nie powodując kolapsu organizmu, pozostaje tajemnicą wizjonerów.

Walka o byt i samolubne geny

W popularnonaukowym ujęciu – prezentowanym m.in. przez zwolenników socjobiologii czy obecnie psychologii ewolucyjnej – dużym wzięciem cieszy się demaskatorskie podejście do ludzkich zachowań, nakierowane szczególnie przeciw zachowaniom altruistycznym i wolnej woli. Głoszą oni, że uczucia wyższe, podobnie jak to co uważamy za motywacje naszych działań, to jedynie złudzenia maskujące rzeczywiste intencje jednostek: przetrwanie i przekazanie swoich genów następnym generacjom. Mary Midgley bardzo przytomnie zauważa, że właśnie miłość do dzieci jest najpewniejszym sposobem zapewnienia przyszłości swoim genom, a nieprzewidywalne statystycznie zachowania jednostek (np. decyzja o wkroczeniu na nowy teren łowiecki) odgrywają (również na poziomie populacji) kluczową rolę.

Inną konsekwencją „etycznego redukcjonizmu” jest usprawiedliwianie zachowań egoistycznych – w teorii na poziomie abstrakcyjnych rozważań. Jednak jako że granice między teorią a konkretem społecznym w praktyce często się zacierają, konsekwencją tego jest przypisywanie biologicznego uzasadnienia rozmaitym mocno podejrzanym projektom z dziedziny eugeniki lub inżynierii społecznej. Oraz bezwzględnej rywalizacji w zachowaniach społecznych.

I znowu, Darwin miałby tu spore zastrzeżenia. „Przeżycie najlepiej przystosowanych”, termin kojarzony nierozłącznie z teorią ewolucji, został w rzeczywistości sformułowany przez filozofa Herberta Spencera. Intencją Darwina było jedynie ukazanie, że dobór (selekcja) może mieć pozytywny wpływ na przetrwanie gatunków. Mimo to wizja epickich zmaganiań każdego z każdym okazała się na tyle sugestywna, że przewija się do dzisiaj, co więcej zabarwia obszary bardzo odległe od oryginalnego kontekstu. To że dane zachowanie jest korzystne ewolucyjnie (czyli zwiększa fitness) nie unieważnia szlachetnych intencji jednostki, która je przejawia. Szanse przetrwania i wydania potomstwa zwiększa nie tylko walka, lecz także kooperacja, i to nierzadko w większym stopniu. Szczególnie u gatunków tak silnie uspołecznionych jak ludzki, gdzie jednostka odseparowana od swojej społeczności jest skazana na śmierć. Zachowania altruistycznie wobec osobników niespokrewnionych Mary Midgley tłumaczy tym, że ponieważ w praktyce „nie wynikają one z kalkulacji, lecz z odziedziczonych skłonności, nie można ich po prostu wyłączyć, kiedy w zasięgu wzroku pojawia się ktoś dalej spokrewniony. Nie są ściśle proporcjonalne do siły więzów krwi, lecz stanowią odpowiedź na wiele innych sygnałów, takich jak znajomość, podziw, sympatia i szczególne potrzeby innych”. Nie wspominając o tym, że ewolucyjnie korzystniejsze jest okazywanie wsparcia wszystkim członkom swojej

grupy, żeby skorzystali na tym ci właściwi, czyli nosiciele krewniaczych genów. Można zaproponować także inną interpretację: zwiększając szansę przetrwania grupy, wpływa się także (choć pośrednio) na sukces własnych genów – ponieważ wzrastają szanse przetrwania potomstwa. *Homo sapiens* to nie żyjący samotnie w dżungli orangutan.

Pułapka nadmiernej wolności

Neodarwinizm da się streścić w jednym zdaniu: to wytłumaczenie różnorodności świata żywego za pomocą eleganckiego, niewymagającego ingerencji z zewnątrz mechanizmu, a mianowicie presji środowiska (selekcja, dobór) na populacje zróżnicowanych genetycznie organizmów (zmiennosc). Na tym polega przewaga propozycji Darwina nad wcześniejszymi teoriami ewolucyjnymi (a było ich wiele). I na tym też polega jej atrakcyjność dla piewców ateizmu: hipoteza Boga przestaje być niezbędną do wyjaśnienia funkcjonowania świata. Jeśli wziąć pod uwagę wspomniany już problem z wyjaśnieniem makroewolucji (kluczowy dla tej kwestii), sprawa nie przedstawia się do końca tak prosto, ale to dygresja.

Bardziej dziwi fakt, że uwolniwszy się od zniechęconego bóstwa wielu wyznawców ewolucji natychmiast zapuszcza się w smętne rozważania o nieczułym, okrutnym i bezbrzeżnie obojętnym uniwersum. Nie zauważają przy tym, że świat nieorganiczny i nieożywiony nie jest zdolny do uczuć. A cechy, jakie mu się przypisuje, to raczej projekcje własnych wyobrażeń o roli człowieka w dziejach. Równie dobrze można z tych samych przesłanek wyciągnąć dokładnie przeciwstawne wnioski,

a za nihilistyczne i ponure konkluzje winić należałoby samego siebie. Aż kusi, żeby im zasugerować, że być może hipoteza kochającego Boga warta jest tego, by jej poświęcić nieco nieuprzedzonej uwagi.

Nauka, postęp, ignorancja

Skoro wobec błędów w myśleniu tak bezbronni okazują się uczeni, zawodowo zajmujący się zdyscyplinowanym wnioskowaniem, trudno się dziwić zwykłym śmiertelnikom, którzy podążają ich tropem, przyjmując na wiarę ich tezy. Rozwój nauki sprawia, że w szybkim tempie każdy z nas staje się coraz większym ignorantem. Starożytny ideał człowieka wykształconego, który w ciągu życia opanował całość dostępnej wiedzy, brzmi dziś jak bajka o żelaznym wilku. Zamiast tego w świecie przetworzonym dla naszej wygody i uładowym jak nigdy błąkamy się niczym dzikus z Nowego Świata przywieziony do szesnastowiecznego Londynu: pełen podziwu, lecz niezdolny objąć rozumem to, co ma przed oczami. A idee naukowe, te narzędzia do poznania świata, traktujemy tak, jak mały żebrak z powieści Twaina potraktował wielką pieczęć królestwa: do rozbijania orzechów. Za pomocą teorii powstania gatunków tłumaczymy własny, codzienny egoizm i zaszczepioną nam naiwną wiarę w to, że przecież przyszłość musi być świetlana.

Hanna Pasierska

Jerzy Dzik, *Biologia ewolucyjna a paleobiologia*, w: J. Barańska, A.B. Legocki (red.) *Polskie i światowe osiągnięcia nauki. Nauki Biologiczne 2010*. www.fundacjarozwojunauki.pl

Mary Midgley, *Evolution as a religion. Strange hopes and stranger fears*, Routledge, London and New York, 2006.